

Anna Dymna: Łódź czuję w nogach

Agata Gwizdała: To chyba spore niedopatrzenie, że, przy okazji odsłonięcia pani gwiazdy w łódzkiej Walk of Fame, spotykamy się dopiero teraz... To już 91. gwiazda przy Piotrkowskiej.

Anna Dymna: To prezent od losu, a nie niedopatrzenie. Moja gwiazda jest dzięki temu obok gwiazdy mojego „synka”.

Chodzi o Mariusza Wilczyńskiego, prawda? Animatora, reżysera, autora głośnego i nagrodzonego filmu „Zabij to i wyjedź z tego miasta”. Filmu o jego rodzinnej Łodzi sprzed wielu lat.

To wyjątkowo piękny film. Niezwykły. Nie da się go z niczym porównać. To film animowany, rysowany przez Mariusza przez 14 lat, bardzo osobisty, biograficzny. Kiedy z Markiem Kondratem zgodziliśmy się użyć głosu mamie i tacie reżysera, nie wiedzieliśmy nawet, co on rysuje. Dopiero w kinie zobaczyłam, w czym wzięłam udział. Te rysunki na początku mnie przerażały, trochę odpychały i wciągały równocześnie. Niezwykły to świat, w którym znalazłam się dzięki fascynującemu, wyjątkowemu artyście. I to w jakim towarzystwie (w filmie słyszymy głosy między innymi Ireny Kwiatkowskiej, Barbary Kraftówny, Andrzeja Wajdy czy Tadeusza Nalepy - przyp. red.). W dodatku Mariusz stał mi się bardzo bliski. Przyjechał dziś w ten upał, by być przy „matce dymnej” podczas odsłaniania jej gwiazdy. Kochane „dziecko”, prawda?

To bardzo ważna, wręcz intymna animacja Wilczyńskiego. Jego powrót do Łodzi. Ale pani wizyta w Łodzi to chyba też sentymentalna podróż.

W Łodzi, jeszcze jako studentka, robiłam wiele filmów. Kilka pierwszych we Wrocławiu, ale potem - przede wszystkim w Łodzi. Tu, podczas pracy nad filmem Henryka Kluby „Pięć i pół bladego Józka”, pracowałam z Wiesławem Dymnym. I właśnie w tym mieście rozkwitała moje pierwsza, wielka miłość. Łódź czuję jeszcze w nogach. Gdy tylko mieliśmy wolne, chodziliśmy po Łodzi. Macie bardzo długie ulice. Chodziliśmy godzinami po mieście. Można więc powiedzieć, że zdeptałam całą Łódź. Poza tym, to tu przeżyłam demonstracje 1970 roku. Pamiętam tłum, krzyki, barykadę z przewróconego tramwaju. Oj, jak ja się bałam... Mieszkałam zwykle w Grandzie, w Savoyu. Pamiętam te Siódemki, w których teraz siedzimy, Honoratkę, Plastyka. A w łódzkim Spatifie po raz pierwszy jadłam golonkę i śledzia w śmietanie.

I który smak był lepszy?

Śledź. Bardzo lubię ryby. Ale pamiętam, jak Wiesiu Dymny mówił: „Aniczka, zjedz goloneczkę. Jak zjesz, narysuję ci smoka”. Do dziś mam kilka takich smoków na serwetkach. Pamiętam dokładnie ten czas, choć minęło ponad pół wieku. Młodość, po prostu, się pamięta. To jest zdumiewające, bo momentami wydaje mi się, że czas stoi, że to było wczoraj, a za chwilę mam wrażenie, że żyję sto lat. Na szczęście, jakimś cudem, ten świat wciąż mi się podoba i jestem szczęśliwa, że żyję.

Ale zupełnie nie zwalnia pani tempa. Tylko w 2022 roku szykują się cztery produkcje z pani udziałem.

Boli mnie, że organizm trochę się już buntuje, że nie ma tyle energii, co kiedyś. A mam wciąż dużo obowiązków... do wszystkich zawodowych doszły jeszcze działania w fundacji „Mimo Wszystko”.

Założyłam ją w 2003 roku, by pomóc godnie żyć osobom chorym, bezradnym, innym – przede wszystkim z niepełnosprawnością intelektualną. Jestem wolontariuszem. W tę pracę wkładam całe serce i każdy wolny czas. A teraz rzeczywistość raczej zniechęca do wszelkiego działania. Jednak, mimo wszystko, wciąż udaje się komuś pomóc. Ważne, by mieć obok siebie przyjaciół, pasję, rodzinę. To daje siłę. Scena też wciąż jest dla mnie źródłem radości, energii i pożywką dla serca. Choć przez ostatnie dni przeżywałam na niej bardzo trudne chwile i pierwszy raz, jak ostatnia amatorka, nie potrafiłam panować nad swoimi emocjami podczas spektaklu „Trąbka do słuchania”. W przedstawieniu tym grałam bowiem jeszcze tak niedawno z Jurkiem Trelą. Gdy walczył z chorobą w szpitalu, nagrał kiedyś swój głos, by nie odwoływać przez jego chorobę spektaklu. Poprosił mnie, bym wyjątkowo zagrała bez niego. Z jego głosem. Tylko dwa przedstawienia. Mówił: „Anka, proszę, wiem, że to dziwna prośba, ale zgódź się. Zaraz przecież wrócę i będziemy dalej razem grać”. Ciężko było, ale jakoś zagrałam. Teraz Jurek nie żyje. Umarł 15 maja. I musiałam znowu grać bez niego. To było straszliwe przeżycie, które mnie całkowicie przerosło. Jaki to jest dziwny zawód. Z jednej strony, od aktora wymaga się, żeby był wrażliwy, współczujący, otwarty na drugiego człowieka, a z drugiej strony, musi być ze stali, bez serca.

Pani jednak pozwala sobie na te emocje. Na scenie, w fundacji...

Muszę sobie na to pozwalać. Tego też uczę swoich studentów. Aktorstwo polega na wydobywaniu emocji, przekazywaniu ich widzom i panowaniu nad nimi. To jest piekielnie trudne, by pozostać jednak nadal normalnym człowiekiem. Gdy wykonuje się ten zawód mądrze, on nie musi wykańczać. Może stać się najlepszym gabinetem terapeutycznym. Ale momentami jest niezwykle trudno. I bardzo trzeba kochać tę pracę, by unieść napięcia i wyzwania, jakie ze sobą niesie. Nie wystarczy udawać, manipulować, żonglować uczuciami ku uciesze publiczności czy dla kasy. W danym momencie trzeba się temu oddać całkowicie. Całym sobą. Przede wszystkim sercem, uwiarygadniać uczucia postaci, którą się gra. Potem trzeba z tego wyjść i oddzielić pracę od życia prywatnego, by nie niszczyła w aktorze człowieka. A to wymaga czasu, a niekiedy bywa niemożliwe...

Chyba mówi pani po prostu o prawdzie. A jak być prawdziwym w świecie celebrytów, ścianek i mediów społecznościowych?

Zaczynam mieć z tym problem. Cały czas walczę, żeby nie dać się zniechęcić. Pracuję nad sobą, by nie stracić radości życia. A czas jest trudny. Bardzo. Ludzie, doświadczeni i zmęczeni pandemią, przerażeni okrucieństwem wojny w Ukrainie, inflacją, są coraz bardziej samotni, oddalają się od siebie, nie ufają sobie, nie szanują się nawzajem, a tak bardzo potrzebują szacunku i życzliwości. Ludzie chorzy, z niepełnosprawnościami, z którymi rozmawiam od 20 lat w programie „Spotkajmy się”, uświadamiają mi, co w życiu ważne, co ratuje i daje siły. Oni to naprawdę wiedzą. Najważniejsza jest życzliwość, przyjaźń, miłość...

Ale Polacy chyba zdali egzamin z życzliwości, z empatii. Po tym, co wydarzyło się i wciąż się dzieje w Ukrainie.

Mam tylko jedno marzenie. Obserwuję ludzi od tylu lat i wiem, że musimy stworzyć w naszym kraju wspólną płaszczyznę – płaszczyznę pomocy. Bez względu na wszystko. Bez względu na to, kto, gdzie jest i w co wierzy. Choroba, kalectwo, nieszczęście może spotkać każdego. Każdy z nas może potrzebować pomocy. Dlatego ta płaszczyzna jest nam potrzebna. Ona może nas po prostu uratować. Przecież kompletnie nie wiemy, co zrobić w świecie, w którym wszyscy się nienawidzą...